Lwów, 18. Listopada. Nr 138. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę.* We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr.— półroczna 3 Złr.— kwartalna 1 Złr. 30 kr.— miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

STARY KOMORNIK.

(Dokończenie.)

Wynalazł wreszcie powiastkę moją, w której brakowało kilku tylko arkuszy, co wszakże jak mi pochlebnie powiedział, nic mi nie szkodzi przy znanej łatwości mojej w pisaniu. Oddając mi ten skromny zwitek papieru, dla wytłumaczenia zapewne niedbałości swojej, opowiedział mi z wielkiem upodobaniem per extensum, cały akt obsygilacyi ze wszystkiemi szczegółami, i rozmaitemi wydarzeniami, po zmarłym przyjacielu moim. Łatwo pojąć jaką mi tem zrobił przyjemność, którą jak pigułkę przyjąć bez skrzywienia musiałem.

A widząc że się rozglądam po szafach, raczył mi wszystkie swe zbiory pokazać, z notatami historycznemi ich pochodzenia.

Opowiadać dzieje obsygilacyjne, i chwalić się zdobyczam żywota swego, należy zwykle do pasyj komorniczych. Dziwić się temu nie należy; wszak każdy lubi się tem chwalić co w życiu zdziałać potrafił. Niema tak skromnego człowieka, któryby w starszym mianowicie wieku, nie lubił rachować liść po liściu wszystkich przez życie zebranych wawrzynów.

Spieszył się wszakże z opowiadaniami swemi, tłumacząc mi że ma jeszcze dzisiaj odbyć kilka komorniczych komisyj, przyczem pokazał mi na papierku zrobiony spis kilku wiosek w sąsiedztwie będących które wszystkie dziś jeszcze radby odwidzić i pokończyć swoje jakie miał w nich zajęcia komornicze.

Jakoż gdyśmy wyszli na ganek dworu, stał już koczyk staroświecki, w którym także zdawało mi się poznać dawnego znajomego, zaprzężony czterma końmi, doskonale utuczonemi.

— Pan komornik po pańsku jeździ; czterma końmi! ozwałem się.

Nic mi na to nie odpowiedział ale uśmiechnął się uśmiechem wiele znaczącym.

Było to z mej strony pytanie złośliwe, bo nie byłem już tak naiwny wówczas, bym nie wiedział, że cztery konie należą do zwyczajów komorniczych. Wszakże gdzie zajedzie komornik nietylko jego i famulusa, ale i konie muszą karmić, i to karmić doskonale, i dać jeszcze owsa na drogę. Cóż to więc szkodzi komornikowi, że biedny szlachcic do którego zjedzie karmi mu cztery zamiast dwóch koni. Jest to jeden z kaprysów komorniczych, czyli raczej wybryk kapryśny, właściwej mu chciwości.

Stanęliśmy chwilę na ganku. Famulus zapakował cały przybór komorniczy, z fascykułów kilku i z starego a wielkiego pularesu z papierem kałamarzem i piórami, złożony; poczem komornik dał mu dyspozycyę, by na jednej z przedmiejskich dalszych ulic czekał na niego.

Wyszliśmy nareszcie na wino. Choć się spieszył niemniej przeto wypił sam na siebie trzy butelki owego maślaczu doskonałego i doskonale drogiego. Zaprawdę tak był drogi, że mi przychodziło mimowolnie na myśl czy komornik nie jest w pewnej wspólce z Pasternaczką, suchą żywą i wymowną żydówką. Wszakże nie należało to do niemożliwości, że pani Pasternaczka, musiała komornikowi płacić pewny haracz od każdej butelki, która pęka dzięki amfitrionom komornika. W czasie wina, rospowiadał mi on jeszcze nie mało o swoich komorniczych dziełach. Było to opowiadanie suche, smutne, martwe, trupem pachnące. Pożegnaliśmy się wreszcie.

Dziwiłem się niepomału że w czasie całego tego opowiadania, nie wspomniał ani razu o rodzinie swojej. Milczenie to z jego strony było naturalne, i wiele znaczące. Czyny komornicze rozpowiadał, bo, jakkolwiek z ścisłą moralnością niezgodne, uważał je za czyny wielce naturalne i godziwe, bo przecież urzędowe. Czynów extraurzędowych, w cichości rodzinnej popełnionych, nie chciał opowiadać; może się ich wstydził; wszak i pan Piotr mógł mieć przecie rodzaj sumienia.

Jakoż nie miał się czem chwalić zaprawdę; zdarzenia jego rodzinne nader były smutne, a rola jego w nich szkaradna.

Wtenczas gdy go poznałem był on już wdowcem, i to od dawna. Biedna Frania za nadto go kochała, i za nadto była poczciwa, by nie pękło jej serce z żalu na widok obojętności mężowskiej i jego tak domowych jako i komorniczych postępowań. Umarła biedaczka na suchoty... biedaczka powiedziałem, ale za życia!... szczęśliwa że umarła!

Dzieci niemiał nigdy pan komornik. Wszystkie dostatki lały mu się w dom oknami i drzwiami; tego błogosławieństwa opatrzność mu odmówiła. Bo jest opatrzność którą darmo przeczemy i ta opatrzność niechciała zape-

wne by w dzieci nie przeszła choćby jedna kropelka jego krwi, a z nią jego własności moralne.

Ze starszemi siostrami nigdy nie żył... i ledwie wiedział gdzie żyły wraz z matką która się do nich przeniosła, ledwie wiedział gdzie wszystkie pomarły, naznosiwszy się za życia nędzy nie mało. Szwagrowie darmo się upominali u niego o resztki ojcowizny: nic nie dał oparty na formalnościach któremi obmotał majątek rodzinny.

Owe dwie wioski szwagrów, z których miała być spłacona jego żona, zawikłał umyślnie w taką massę tabularnych procesów, że w końcu wszyscy przystali na ich sprzedanie. Głupi szwagier nie wiele dostał, bo jak już wiemy o nim, co do rachunków znał się tylko na mierze końskiej. Wyniosł się gdzieś aż w krakowskie i w r. 1830. puścił się w podróż i przepadł gdzieś bez wieści.

Z młodym szwagrem inny, tragiczniejszy był koniec. Biedna Rózia nie kochała męża, ale była dlań dobrą i poczciwą żoną. Młody mąż nie długo wytrzymał nudy życia domowego, i zaczął robić rozmaite wycieczki. Tymczasem ów młody przyjaciel Rózi, ów znany nam Józio, do którego już serce pierwszem zadrżało uczuciem, wrócił do kraju. Łatwo pojąć jakie było ich zdybanie. Biedna Rózia znosiła podwójny krzyż! a do tego dokuczały jej nie mało ludzkie języki. Czy prawdę czy nie prawdę głosiły, nikt z pewnością nie wiedział, ale pan komornik któremu dla znanych granicznych sporów bytność pana Józefa zawadzała, poty judził męża rodzonej swej siostry, póki raz po pijanemu nie przyszło między nim i Józefem do awantury. Mąż Rózi zginął w pojedynku, a Józef porzucił ojczyznę na zawsze. Po długich tułactwach głucha wieść doniosła że zginął w Algierze.

Rózi rozpacz była okropna i szczera. Bóg tylko wiedział co się w jej sercu działo, i jak jej życie obmierzło... ale nie umarła, bo zostało jej dwie sierot małych i kwilących tym dla matki najwymowniejszym dziecka językiem. Jej się najwięcej jakoś zostało z rozbitego majątku, i osiadła z dziećmi w Stanisławowie.

Z starszych braci pana komornika jeden tylko wrócił do ojczyzny. Michał zginął pod Waterloo, a Franciszek straciwszy nogę pod Berezyną, dostał się do niewoli. Po długich cierpieniach, więzieniach i pieszej wędrówce, wrócił do ojczyzny, na kuli, w nędzy, bez nadziei, bez zdrowia i sposobu do życia. Komornik pokazał mu najdowodniej z rachunków i papierów procesowych, że z Féderówki ani grosza się nie zostało; i nie dał mu ani grosza pomocy. Biedny kaleka mieszkał u siostry, i dzieciom jej rozpowiadał dzieje tych wojen ogromnych, rozpowiadał te marzenia i nadzieje jakie przedumał po tych wszystkich biwuakach europejskich.

Majątek komornika rósł oczywiście coraz więcej. Fedorówka z ową granicą po za krąglak brzozowy, stała się jego własnością, a gdy pan Józef wyniósł się z kraju, komornik, najlepszą część z rozbitku dwóch wiosek szwagrowych wyniosłszy, dokupił wioskę pana Józefa, i prócz tego liczne zbijał kapitały.

Taki był żywot pana komornika, a żywot był długi, bo późnego bardzo doczekał się wieku. A. jakaż była jego śmierć.

Śmierć jego uprzedziło zdarzenie dość pocieszne samo przez się, które przyłożyło się nie mało do tej jego śmierci. Starozakonny jakiś Icek, który komornika w rozmajtych sprawach zapewne pieniężnych potrzebował, miał śliczne dwie krowy; komornik patrząc na nie uczuł pożądliwość do doskonałej zapewne ich śmietanki. Jakoż wmówił i wymusił u żyda, że mu ten obowiązał się dawać codzień jeden półkwaterek śmietanki i to darmo. Przyjaciele i koledzy pana komornika dowiedziawszy się o tem zrobili sobie facecyę, i w potocznej przy komorniku wiedzionej rozmowie, puścili tego bąka, że owe krowy zostały pokąsane, przez psa wściekłego.

— I wyobraźcie sobie, że ten niepoczciwiec mimo to przedaje mleko tych krów, może zatem wścieklizną mnóstwo potruć ludzi.

Łatwo pojąć jak skoczył stary komornik z miejsca i za brzuch się porwał przekonany, że już czuje skutki zatrutego mleka.

Może więc i ten przestrach nadwątlił siły starca, ale nie długo już potem żył nasz komornik.

Umarł wkrótce dość nagle i to na jeden ze swych licznych grzechów, właśnie na najmniejszy. Umarł na obżarstwo. Rózię mieszkającą w Stanisławowie, odwiedzał dosyć często i zawsze jej dowodził że ona jemu los swój winna, a nareszcie przebąkiwał o bogatem dziedzictwie jakie po jego zrobią śmierci. Z tych powodów zawsze coś wytumanił od siostry chociaż tyle od niego uboższej. Mianowicie kazał sobie gotować rozmaite u niej przysmaczki, i wymówił sobie jako podatek regularny, co tydzień parę bochenków chleba świeżego, który namiętnie lubił.

Owoż w jakiś dzień nieszczęśliwy objadł się świeżego chleba, i w godzin kilka umarł. Dziwne przeznaczenie by komornik co tyle przez życie swe połknął i strawił, umarł na niestrawność. Jestli to Nemezys.. jestli to szyderstwo losu?

On co tyle poobsygilował ludzi, został nawzajem obsygilowany przez młodego kolegę swego, który w jego może wyuczony szkole, mnóstwo kosztowności ,powynosił z domu nieboszczyka, które jak to się dzieje zawsze przepadły na wieki. Słuszny i szczególny odwet! do którego dobrze jakiś żartowniś okoliczny zastósował stare przysłowie: przyszła kryska na Matyska!.. Pomiędzy różnemi zbiorami jakie znaleziono po śmierci jego, najszczególniejszym był zbiór świec woskowych, w ogromnej pace złożonych, do których nieboszczyk przychodził bardzo dowcipnie i prowadził niemi rodzaj handelku. Gdzie tylko

przyjechał na urzędowanie żądał zawsze dwóch świc woskowych, a dwóch łojowych dla famulusa. Łojowemi palił w swym pokoju, a woskowe chował. I jeżeli się komisyja dni kilkanaście przeciągnęła, rzecz ta ze świecami powtarzała się codzień, co oczywiście tworzyło dosyć niemały, a niewinny zupełnie zarobeczek.

Ogromny majątek odziedziczyli po nim synowie Rózi; są dziś paniczami, na drodze do tytułów i znaczenia. Oczywiście ani przyznają się do wuja komornika!!...

Kończę ten szkic, choć po części na prawdziwych zdarzeniach oparty, jednakowo nikogo osobiście nie tyczący. Nie powiem żeby wszyscy komornicy byli tacy, przeciwnie znałem wielu uczciwych i powszechnie poważanych. I właśnie od takich to zebrałem moje data do tego szkicu. Ze zgrozą mi o swych kolegach niektórych opowiadali.

J. Dz.

Z POEMATU: ŚPIEWAK Z OAZY.

W namiocie.

„Pod tym namiotem bądźcie pozdrowieni!
Niech wam użycza swych gościnnych cieni.
Tu miękkie łoże, tu świeże daktele,
Czem Allah darzy, z wami bracia dzielę;
Przyjmcie! gościna u starca uboga,
A wy znużeni... ciężka w puszczy droga.

„Już nie pamiętam — słońce ile razy,
Kraj nasz obeszło, jak do tej oazy
Nikt z Beduinów nie zajrzał po drodze,...
A dziś samotność już mnie dręczy srodze!
Bo zostawionym być tylko pamięci,
W której się dziwny zamęt życia kręci,
W męczarniach nowy, a resztą niezmienny,
Cięży na sercu jako wał kamienny;
O! to za wiele jest na starą głowę,
I patrzyć ciągle na cierpień osnowę,
Którą przypadek, czy też złość szatana,
Nie wiem... to dla mnie otchłań niezbadana, —
Pasmem dni moich nieustannie toczy,
Ledwie zdołają moje słabe oczy.”

«Gdy kto zawita, w te odludne strony,
Wtedy o bracia — jakby odrodzony,
Widzę człowieka, który choć nie tyle
Cierpiał — a jednak miewał gorzkie chwile,
I czuł ból serca! — Choć obcy rodziną,
Już mi pokrewny cierpienia godziną....

„Starcze! na twojej pooranej twarzy,
Widzę znak bolu; — Ona mi się skarży,
Choć usta milczą w przyrodzonej dumie,
O moje oko duszę zbadać umie,
Bo komu serce raz cierniem przebito,
Wyczyta boleść, choćby jak ukrytą!

«W młodości mojej byłem pierwszy z braci,
Przymiotem duszy i kształtem postaci,
Szybki jak sokół, w walce lub igrzysku,
Wróg pierzchał hardy od mej szabli błysku,
Lub zginał czoło, i o pokój błagał,
A jam mu dawał czego się domagał! —

«Nie w krwi rozlewie szukałem ja sławy!
Jeśli wam znane Mekkańskie zabawy,
Kiedy przy blasku wieczornym fingary,
Płyną rozdźwięki czarownej gitary,
I tysiąc dziewic w rajskim upojeniu,
Drżą przy pieściwem każdej struny brzmieniu,
Którą dłoń pierwej w zachwycie porusza,
Tam! tam bujała moja młoda dusza!..

«Pieśń jeźli z serca i duszy wypływa,
To serc tysiące za sobą porywa.
Wkrada się w duszę tajemniczo, z cicha,
Jak kropla rosy do kwiatu kielicha,
Potem je wiedzie upojone brzmieniem,
W raj za wskazanym przez piewcę promieniem!

«O chwile błogie — nieraz pośród grona
Brzmiała pieśniami moja pierś natchniona,
A Beduinki w srebrzystej zasłonie,
Rzucały kwiaty na śpiewaka skronie!
To było życie!.... jedna kwiatka padła,
I odtąd gwiazda mego szczęścia zbladła...

«Serce zranione jest jak owa róża,
Którą wiatr w piaskach pustyni zanurza,
Spalona żarem chociaż życie traci,
Nie zmienia barwy ni cudnej postaci,
Tylko listeczki uwiędłe nagina,
I cichym szeptem, że żyła wspomina.
Róża nieczuje, ale w biedne serce,
Biją szyderstwa pioruny, morderce,
I śmiech współbraci ten najsroższej boli,
Bo tętna życia wydziera powoli,,»

Tu starzec umilkł — otarł krople z czoła
Badawczem okiem potoczył do koła,
Jakby chciał czytać z beduinów twarzy
Czy się uśmiechnąć który nie odważy;
A potem dalej mówił drżącym głosem:
«Patrzcie skroń białym okolona włosem,
Cierpienia duszy do grobu mię chylą,
Mogę porzucić świat za lada chwilą,
I stanę drżący przed twarzą proroka,
Niemogąc podnieść nań grzesznego oka —
Bo w gorzkiej chwili niepamiętny siebie,
Zwątpiłem o nim — o Bogu, o niebie!
I świat ten cały był mi jednym głazem,
Wykuty z zimnym szyderstwa wyrazem.

«Później już mogłem spoglądać do nieba!
Często się rwałem jak fakir do chleba,
Myślą do gwiazd tych, — kiedy w noc pałały,
Lecz one nic mi nie odpowiadały,
I myśl wracała smutniejsza niż pierwej
Do swoich cierpień — bez końca! bez przerwy,
A kiedy czasem na niebie czerwona,
W przelocie błysła meteoru łona
Jak krew.... jam oczy odwracał od nieba,
Krew mam w pamięci, więcej mi nie trzeba.

«Czasem podróżnych zdybałem w oazie
„Salam“ — jam ledwie odpowiedzieć umiał.
Szyderstwo dla mnie było w tym wyrazie,

I uchodziłem by mię nie zrozumiał
Brat co tem słowem życzył mi pokoju,
Niewiedząc ile w piersi w mojej boju!

„Nieraz znużony palącemi skwary,
Szukałem ulgi przy dźwiękach gitary,
By pieśnią spędzić z pamięci całuny;
Lecz ledwie ręka dotknęła się struny,
W duszy się odbił taki jęk boleści,
Żem rzucał granie lękając się treści.

„Dziś bracia moi! — dziś już śpiewać mogę,
Czas myślom serca inną wytknął drogę.
Jak tuman kurzu uleciał szał dziki,
A kiedy marzeń odsłaniam pomniki,
I zerwę kamień co ich grób przygniata,
O błogo sercu śród dawnego świata....

Tu nagle umilkł, — jego twarz wybladła,
Jaśniała ogniem, z powieki łza spadła,
Cicha i smętna, niby kropla rosy,
Kiedy wieczorem wiatr porusza wrzosy,
I z dziatwą polną coś pieściwie gwarzy,
Ileż tam płaczu, choć się nikt nie skarży!

Księżyc na niebie zabłysnął czerwono,
Starzec z namiotu wiódł Arabów grono,
Z modlitwą w ustach, jako prorok każe,
Ku świętej Mece obrócone twarze,
Lecz cyt, ucicha modlitwy szeptanie,
W oazie nagle rozlało się granie,
Przygrywka smutna ucieka z gitary:
Jakąś kassydę nóci pieśniarz stary,
A Arabowie w milczeniu grobowem,
Myśli posłali za śpiewaka słowem. (C. d. n.)

TRYBUNAŁ LUBELSKI

Ze wspomnień starca 82-letniego.

(Ciąg dalszy).

Woźnych było obowiązkiem obwoływać zaczynające się posiedzenia, przestrzegać cichości i przyzwoitego zachowania się przytomnych widzów, uciszania gwarów, wypraszania na ustęp, przyzywania do słuchania wyroków, obwoływania i odwoływania posiedzeń, nakoniec przywoływania spraw z porządku przypadających, do czego mieli xiążeczki, czyli tak nazwane wokandy.

Do izby czyli sali sądowej wchodziło się przez schody kamienne, nie dość oświetlone, przez przysionek długi i dwie wielkie izby ustępowe; na końcu tego przedsionka od frontu głównego, na lewej stronie była kaplica trybunalska z ołtarzem i obrazem Najświętszej Panny, w srebrną sukienkę przybranej; na prawej stronie był pokój długi, który zwykle w lecie najmowali cukiernicy i utrzymywali w niem słodkie chłodzące napoje i lody, któremi zwykle młodzież w ustępach się raczyła.

Izba czyli sala posiedzeń urządzona była w następującym sposobie: Od wielkich podwójnych drzwi przez kilkanaście kroków odstępu, wznosiła się na trzy stopnie wyniesiona od posadzki, tak nazwana kratka z pulpitem dla obrońców spraw; na pułce leżały zwykle *Volumina Legum* i fascykuły papierów; stało za nią po prawej i po lewej stronie najczęściej po trzech mecenasów od powodowej i pozwanej strony; przy mecenasach do pomocy w czytaniu dokumentów, mieścili się dependenci. Od tej kratki aż do ściany, przy której na wyniesionej na trzy stopnie podstawie, ustawione były krzesła czerwonym safianem wybite dla Marszałka i Prezydenta, przez całą długość sali kilko-oknowej rozciągał się stół długi, zielonem suknem wybity, otoczony po obu stronach ławkami, czerwonem suknem pokrytemi, i oddzielony drewnianą balustradą, za temi ławkami umieszczoną. Przy ścianach na około sali były ławki podobnem suknem wybite, dla przytomnej publiczności — na lewym boku, jak wyżej rzekłem, miejsce okratkowane dla sądu ziemskiego — przy wielkich drzwiach wchodowych w kącie przy ostatniem oknie, wysoko wyniesiona i obszerna trybuna dla woźnych; w środku kratki, naprzeciw Marszałka i Prezydenta, wznosił się krzyż wielki, czarno lakierowany, z Panem Jezusem Ukrzyżowanym, od którego nóg był nakreślony wielkiemi literami napis: *Justitias vestras juducabo.* Już to nie był ów krzyż i na nim przybity Pan Jezus, może jeszcze przez Jana Zamojskiego umieszczony; — tamten, o którym gminna tradycya niosła, że zapłakał na sprawiedliwość wyrządzoną wdowie, i zesłał szatanów na powtórne osądzenie sprawy, po którem niesumienni sędziowie karki ze schodów połamali— Jako cudowny, od wieku przeniesiony został do ubocznej kaplicy w kollegiacie lubelskiej św. Michała i w niej, obciążony pobożnemi wotami, odbierał cześć, modły i błagania. Za mojej młodości ta tradycya wrosła w sumienie i wiarę i wyprowadzała dobre skutki; z ostygłą wiarą utraciła swoje wrażenie, które nawet pogański pisarz rad był wyryć na sercach śmiertelnych w tym wierszu: *Discite justitiam moniti.* Po zawaleniu się opuszczonej kolegiaty, niewiem czyli — i gdzie ten krzyż przeniesiony został; to wiem że pamięć tej tradycyi w umysłach zgasła.

Nad wielkiemi wchodowemi drzwiami był zawieszony obraz do pół osoby św. Tomasza, w którego święto zwykle Trybunał się limitował, pod nim był umieszczony napis łaciński: *Ille ego qui facio privatum ex consule civem, Ante meam privant, vos mala facta diem.* Sala była malowana al fresco ze szlakami. Drugie piętro ratusza, tego samego rozkładu jak pierwsze, lecz mniej wysokie i z mniejszemi oknami przeznaczone było na posiedzenia sądu ziemskiego lubelskiego, i w nim swoje kadencye odbywał. Otwarcie czyli reassumcya Trybunału, a razem wjazd jego do Lublina, odbywały się z pompą, powagą i pobożną uroczystością. — Wszyscy członkowie jego przybrani w urzędowe szaty, to jest w mundury swoich województw,

przy szablach, lub karabelach zebrawszy się u Prezydenta lub Marszałka, udawali się in corpore, pieszo lub pojazdami, według pogody dnia, do Kolegiaty otoczeni członkami grodu, ziemstwa, palestry, gronem pacientów (mających sprawy) i całą powszechnością do Lublina zgromadzoną. Cały garnizon występował pod bronią i prezentował ją przed przechodzącemi lub przejeżdżającemi, przy biciu po trzykroć w bębny. Brzmiały dzwony po wszystkich kościołach i klasztorach — nawet ów wielki dzwon pojezuicki, rzadko rozkołysywany, jęczał na wyniosłej wieży. Po wysłuchaniu mszy św. w kaplicy, i uczczeniu modłami owego ukrzyżowanego cudownego wizerunku, cały Trybunał słuchał jeszcze sumy, zwykle przez biskupa, lub jednego ze starszych kanoników, lub prezydenta odprawionej, witano go kazaniem i ewangieliczną nauką — po odśpiewaniu hymnu *Veni creator*, tym samem trybem i z temi samemi honorami udawał się na ratusz. Gdy marszałek i deputaci zasiedli swoje miejsca, powstawał zza swojej kraty sędzia ziemski już trzymający w ręku laskę — stosowną mową witał Trybunał, przydając nieraz przestrogi z postępowania przeszłego Trybunału zebrane, i wróżby jakie kraj czynił sobie z obecnego grona osób, laskę marszałkowi wręczył; na co marszałek trzymając laskę w ręku odpowiedział sędziemu; następnie mówił prezydent trzymając krzyż w ręku — potem wstąpił na kratkę jeden z wybranych mecenasów, podobnie witał trybunał i podobne odebrał podziękowanie. Uderzył zaraz marszałek laską w stół, woźny przywołał sprawę z porządku wokandy, zapisano obecność stron osobistą lub przez pełnomocnika; i za uderzeniem powtórnie laski odwołano posiedzenie do następnego dnia, a całe grono udało się do prezydenta lub marszałka, zaproszone na obiad, podczas którego grzmiały moździerze, brzmiała janczarska kapella i cały batalion regimentu Czapskiego dawał ognia z ręcznej broni.

Ze smutkiem tu wspomnę, że podczas trwania Trybunału na podobnego rodzaju ucztach u deputatów, nie tylko zwykle ten batalion pełnił tę posługę, lecz widziałem prostych żołnierzy w mundurach noszących półmiski do stołu w miejscu lokai, widziałem jak stojący w oknie podoficer z laseczką w ręku, za wzniesionym kielichem za zdrowie solenizanta dawał znak oficerowi komenderującemu batalionem, a ten rozkazywał wystrzały. Co za mięszanina powagi i dostojności a raczej próżności z jednej, poniżenia i podłości z drugiej strony. Kiedy pod mundurami cywilnemi duma i próżność puszyła się i nadymywała, w obroncach ojczyzny i pod ich strażą, nie było wyobrażenia honoru lecz poniżenie i spodlenie.

Laskę marszałkowską po odwołaniu sesyi zwykle instygator z woźnemi odnosili do marszałka i prezydenta i tym samym porządkiem przynosili na posiedzenie. Przed temi insygniami kompania żołnierzy stojąca w ratuszu prezentowała broń i dobosze bili w bębny po trzykroć jakby przed osobami Trybunału. Byli tak próżni deputaci, którym do tego stopnia pochlebiały te honory, iż pamiętam niejakiego Pinińskiego, rodem Podolanina, a z posiadanego w Województwie lubelskiem majątku, wybranego na deputata lubelskiego, który nim się wychylił z bramy krakowskiej na rynek, aby go ten honor nie minął, wysyłał naprzód idącego za sobą hajduka, mówiąc do niego: „idź ostrzedz oficera na odwachu że deputat lubelski idzie, aby kazał stanąć do broni i bębnić.“

Gdy się członkowie trybunału zeszli w komplecie, siedmiu na trzydziestu, codziennie na posiedzeniu słuchano mszy św. w kaplicy, którą zwykle odprawiał jeden z duchownych deputatów, a czasem sam prezydent. — Członkowie trybunału napełniali kaplicę, a przysionek pacyenci, palestra, i powszechność. Woźni ubrani zawsze w żupany i kontusze zwykle niebieskie z karmazynowym, i jako szlachta przy szablach; w przechodzie marszałka i deputatow woźni wołali tubalnym głosem: „Mości panowie ustąpcie się JWmu NN.“ — Podczas mszy św. w przysionku grała cała orkiestra lubelska pobożne symfonie przy głosach śpiewaczek. Za mojej pamięci spiewała młoda siedemnastoletnia dziewica Miklasiewiczówna, córka dyrektora kapeli lubelskiej, która potem poszła za mąż za Włocha Campi; słyszałem ją w roku 1805 spiewającą w Wiedniu, na teatrze w wielkich operach w głównych rolach i w i w rzędzie pierwszych śpiewaczek, słyszałem później w Warszawie za Xięztwa Warszawskiego na teatrze i w rolach narodowych. Po ukończeniu mszy św. gdy trybunał ruszył się do sali, woźni powtarzali: „Mości panowie ustąpcie się,“ gdy zaś członkowie zasiedli, woźni powtarzali: „Mości panowie uciszcie się.“

Malownicza była postać tego grona poważnego i dostojnego dla różnofarbnych wojewódzkich mundurów, z rozmaitemi wyłogami i szlifami złotemi, z sutemi bulionami na ramionach, póki z nich lex sumptuaria, to jest prawo oszczędności nie obrało — malownicza szczególniej w oktawę św. Stanisława, jako w dnie balów, uczt, illuminacyi fajerwerkow na cześć króla. Mundury te albowiem orderowe były bogate, żupany pąsowe, kontusze białe, na wszystkich szwach szamerowane złotemi szlakami; z fabryk krajowych, szczególniej słuckiej, szaty przy bogatych pasach i wstęgach pąsowych przez ramiona, powabny widok czyniły; niejednostajność tylko psuła go, że te długie i poważne ubiory, te głowy golone, wąsy po szwedzku wystrzyżone lub zwiesiste, przecinały fraki francuskie, tupety i głowy pudrowane.

Poważniejsza zapewne była postawa tych trybunałów za czasów Wazów, w których cudzoziemczyzna nie psuła harmonii w jednostajności ubioru, gdy poważne brody, głowy strzyżone, żupany z taśmą i klamrą kameryzowaną i guzami z drogich kamieni, szuby z sobolami lub płaszcze szkarłatne odbijały w tem gronie, w sposobie, jaki

widzimy na dawnych obrazach i jaki uderzył moje oko w Kielcach w pałacu biskupim, gdzie w sali na suficie rozciągnięty obraz sejmu abdykacyjnego za Jana Kazimierza. — Wiadomo iż ubior polski w różnych wiekach, przez różne przemiany czerkaszczyzny, kozaczyzny i t. d. przechodził. Szlachta polska, lubiąca zmiany i wykwintność w stroju, rozmaite kroje sobie przyswajała. — Kolorowe suknie noszono od niedzieli do piątku, w piątek czarne, w sobotę popielate.

Nikt na trybunał wchodzić nie ważył się w surducie lub kapocie — każdy musiał być ubrany w uroczystą szatę i przy szabli u boku.

Gdy członkowie trybunału zasiedli swoje miejsca i mecenasi wstąpili na kratkę, marszałek uderzył laską w stół woźny przywołał sprawę z porządku regestrów, do zapisania komparycyi czyli stawienia się stron osobiście lub przez pełnomocnika.

Cztery było regestra spraw, których woźni mięli książeczkę, tak nazwane wokandy, z każdego województwa osobno:

1. *Ordynaryjny* czyli spraw cywilnych, de jure haereditatis et possesionis.

2. *Faktowy* czylj spraw uczynkowych.

8. *Incarceratorum* czyli spraw kryminalnych.

4. *Poenalium* czyli spraw malegesti officii przez urzędników sądowych.

Po zapisaniu komparycyi, gdy strony nie stanęły, wypuszczano sprawę *per non sunt* a przywoływano następną.

Gdy jedna tylko stanęła, stawający od obecnej strony obrońca dyktował na niej *kondemnatę*, czyli skazanie na dopełnienie wniosków strony obecnej, i kary pieniężne za niestawienie się:

Kondemnata tamowała activitatem polityczną (piastowanie urzędu.)

Gdy strona na trzech trybunałach niestawiła się, wprowadzano jednostronnie sprawę i otrzymywano wyrok in *contumacia* (zaoczność.) (D. c. n.)

O przedruku Słownika Lindego.

Instytut narodowy imienia Ossolińskich, ważne przedsięwziął przedsiębiorstwo, w które na lat kilka, sześć przynajmniej, włożyć musi wielką część dochodów swoich, równie jak i pracę urzędników swoich. Jestto przedruk Słownika Lindego. Instytut ten dla bogactwa swej biblioteki i połączonych z nią innych zbiorów, i dla znacznych dochodów swych, z przeznaczeniem na cele naukowe, jest jedynym na całą przestrzeń krajów przez Polaków zamieszkałych. Nie dziw więc, iż cokolwiek przedsiębierze wzbudza udział i uwagę wszystkich Polaków. Tak więc i przedsiębiorstwo przedruku Lindego mające na dłuższy czas wszystkie jego siły umysłowe i materyalne zabsorbować, poruszyło opinię dzienników, w innych prowincyach polskich wychodzących. Ciekawem więc będzie dla Galicyi, co w tym względzie sądzą poważniejsze dzienniki polskie. Jeszcze przed dwoma laty, w „Gazecie Warszawskiej" zarzucono instytutowi, dla czego nie dopełnia raczej obowiązku przez fundatora nań włożonego, wydawania pisma czasowego. Już to i przy przedruku Lindego zdawałoby się dla instytutu rzeczą bardzo możliwą wydawać dziennik naukowy. Nie wątpimy że osobliwie teraz, gdy «Dziennik Literacki» dla braku funduszów przestał wychodzić, Zakład pomyśli szczerze o tem, aby Galicya miała swój organ naukowy. Drugie pismo, «Dziennik Warszawski» a mianowicie główny tegoż redaktor, uczony Julian Bartoszewicz w ten sposób odzywa się o przedruku Lindego:

„Wielka nowina obiegła przed kilkunastu miesiącami świat uczony; we Lwowie drukuje się powtórnem wydaniem Słownik Lindego! Co tu radości, co tu wrzawy! co tu pochwał dla myśli która ten pomnik języka postanowiła raz jeszcze dźwignąć; dla wieku, który umie się zdobyć na tak bezinteresowne przedsięwzięcie, bo nakładcom tylko chodziło o rozpowszechnienie Słownika, bo go dawać będą za bezcen! Wiek nasz, wiek materializmu i gorączki kapitałowej, ten wiek nasz drukuje Słownik Lindego. Bajeczne wieści wkrótce rozchodzą się o nakładzie ogromnym jakiego takie dzieło potrzebuje, o zmianach i poprawach jakie zaprowadzone będą, o tomach dodatkowych które obejmą całe bogactwo języka nie tknięte w Lindem. Zakład Ossolińskich posuwa delikatność do ostateczności i prosi rodzinę Lindego o pozwolenie przedruku; familija przesyła mu nowe materyały zebrane przez samego autora.

Jednocześnie rozchodzą się wieści i zdania przeciwne. Cośmy się ich nasłuchali, tutaj, w jednej Warszawie! Jedni ganią całkiem przedsięwzięcie, drudzy wskazują sposoby jak je poprowadzić, żeby z tego korzyść była dla nauki a cel nie chybiony, inni wątpią o sprawie, — ci są przeciw przedrukowi, ci za przedrukiem. Jednem słowem, tysiące zdań, tysiące myśli. Ale wszyscy milczą, nikt się nie odzywa publicznie.

A jednak w istocie ważne to przedsięwzięcie, przez zakład naukowy Ossolińskich pomyślane we Lwowie, zasługiwało ze wszech stron na rozbiór. Słownik języka polskiego był w swoich czasach powitany prawie z entuzyjazmem, któremu rzadko coś równego pokaże historia naszej literatury. I skądże pochodzi to milczenie dzisiaj? Dla czego te zdania powikłane objawiają się prywatnie, a nikt głośno nie zagai o tym przedmiocie? Jak to? więc Słownik Lindego jest dzisiaj już bez wartości? tak prędko czas jego wziętości przeminął? Jeszcze pół wieku nie ma od czasu kiedy pierwszy tom wyszedł a już go zapomniano! Jedenże tylko zakład Ossolińskich zrozumiał potrzebę naszej chwili i ocenił pracę Lindego? Dawno nam te myśli przechodziły po głowie i dawno się chciało powiedzieć publicznie słówko w tym przedmiocie, który zainteresował jednak wielce świat uczony. Ale mieliśmy własne zdanie w tej sprawie i długo obawialiśmy się stanowczego kroku, żeby nie obudzić pewnych uśpionych niechęci, pewnych widoków, które naszym wręcz były przeciwne. Ale Słownik w druk idzie, już donoszą nam ze Lwowa, że wiele form pierwszego tomu wybito, że prędko to nowe wydanie ujrzymy. Trzeba więc zacząć, żeby nie powiedziano o nas, żeśmy nic o drugiem wydaniu Słownika Lindego nie myśleli.

Otwarcie wyznajem: że jesteśmy przeciwni wszelkiemu przedrukowi. Przekonani jesteśmy, że przedruk ten nie zbogaci dziejów języka i literatury, że na dalszy ciąg polskiego piśmiennictwa żadnego nie wywrze wpływu. A kiedy tak jest, szkoda tak wielkich i pięknych kapitałów, rzuconych w błoto, zdałyby się na co innego. Sama historya języka od lat ostatnich czterdziestu, dostarczy nam potrzebnych dowodów, na których opieramy zdanie nasze.

Nasza mowa wyrosła z pnia słowiańskiego, a długo, kilka wieków, urabiała się na wzór łaciński, bo naród polski przyjął oświatę zachodnią, — stąd naprzód, dużo form, dużo wyrażeń pozostało łacińskich, form i wyrażeń których nie ma w mowie ludu. Kiedy potem makaronizm zaczął przeważnie panować w języku i w literaturze, wiele wyrazów łacińskich niepotrzebnie wcale do słownika mowy naszej wcisnęło się i zeszpeciło ją, oddalilo od narodowego pierwiastku. Praca Kochanowskich skończyła się, a nastała epoka pe-

negiryków i zeszpecenia języka. Epoka Stanisławowska wyrzuciła z literatury tę modną przez czas jakiś mięszaninę, tę pstrociznę wieży Babel i smak się oczyścił w prawdzie, ale mętów wiele zostało na spodzie. Porównajmy np. język staropolski a prześliczny Bielskich lub Wujka, z językiem Krasickiego; w pierwszym jakaś powaga, namaszczenie, tok mowy, wyrażenia wszystko szczeropolskie, — Krasicki tylko w poezyi czysty, ale w prozie mnóstwo ma wyrazów łacińskich, bez którychby się obejść można było, Krasicki jest dowcipny, zdolność wyższego rzędu, ale językiem włada napół makaronicznym. Pana Podstolego Doświadczyńskiego jednak, za wzór nam stylu przedstawiano; są tam zapewne pełne narodowości miejsca, ale o formie, t. j. o języku Krasickiego, nie można powiedzieć tego że jest szczeropolski jak Wujka. Wujek żył przed epoką makaronizmów, Krasicki po niej, — więc nic dziwnego, że jeden pisał czystą, a drugi nieczystą polszczyzną.

Kto kiedy zastanawiał się nad tem, ogromną widział różnicę dwojga epok. — Prawdę powiedziawszy i zastanawiać się nad czem nie było, tak prawda była widoczną i jasną. U Krasickiego i spółczesnych są n. p. approbacje, determinacye, progress, affekta, sentymenta, dystrykcje, konexje, potencje, hazard, sytuacje, preterencje, sciencje, sukcessa, moderacje i t. d. wyrazy bez których obeszła się, albo przynajmniej obejść się mogła czysta polszczyzna. Nie mówim już o pojedyńczych zwrotach, obrotach mowy, których źródło zatamowała epoka makaronizmu i które dziś dopiero odgrzebujem dla uwydatnienia piękności języka.

Każda epoka rozwoju ma, musi mieć swojego gramatyka i słownikarzy. Gramatyk rozwijający się język ujmuje w pewne prawidła, słownikarz spisuje całe jego bogactwo. Stąd gramatyka porównalibyśmy do historyka, bo w istocie jest on tylko historykiem mowy, ujmuje ją w pewnej chwili i chwilę tę przekazuje następcom. Kilka gramatyk z kilku różnych epok, to już historya nie chwili, ale przeprowadzona grammatycznie przez wieki. Słownikarz zaś jest podskarbim, że się tak wyrazim języka; spisuje cały remament jego bogactw. Otóż nie wdając się w szczegóły, dla epoki aż po r. 1815 doskonałym słownikarzem Linde. Kopczyński był ostatnim co nasz język do łacińskich zwrotów naginał, Lindemu zaś Bóg pozwolił urodzić się i żyć w tej epoce, co to okres łaciński w literaturze naszej ostatecznie zamknęła. Kopczyński nie winien że dzisiaj stracił na wartości i że jest tylko historycznym pomnikiem przeszłości. Linde niewinien że działał przed nową epoką. Stąd jak gramatyka Kopczyńskiego jest dzisiaj tylko dla historyi języka dobra, tak i Słownik Lindego stał się już więcej materiałem historycznym. Więcej wart słownik Lindego jak gramatyka Kopczyńskiego, ale bo też i nauka Lindego, przygotowanie się do pracy, znajomość wzorów, ukształcenie uniwersyteckie, znajomość przedmiotu, było inne jak to wszystko u Kopczyńskiego. Zresztą Kopczyński właściwie z epoki makaronicznej wyrósł i złotej literatury Zygmuntowskiej znał co Linde, który głównie czytał z Ossolińskim Zygmuntowskich autorów. Z tąd kiedy Kopczyński jest pomnikiem li tylko swojej chwili i ukazuje historję języka li tylko w pewnej danej epoce, Linde objął dwie, trzy epoki. Zygmuntowską, makaroniczną i tych trzech epok bogactwo zebrał w swoim słowniku. Linde ma dziś jeszcze wartość i będzie ją miał jeszcze długo. Kopczyński nie ma już prawie żadnej wartości.

Ale kiedy słownik Lindego wychodził, panowanie formy i klasyczności w naszej literaturze było na schyłku. Zamykał się jeden okres dziejów, ale nie zaczynał się jeszcze drugi; co najwięcej epoka księstwa Warszawskiego była w literaturze naszej epoką przejścia, natchnienia narodowego tam jeszcze nie było. Toga rzymska była powszechnie w modzie, a ledwie, ledwie świtało przeczucie nowych pojęć literackich. Dopiero śpiewak Wiesława zbierał się z siłami. Właśnie w epoce, kiedy ostatni tom Lindego wyszedł, pokazywała się zorza nowej literatury.

Któż nie wie jak wspaniale potem rozwinął się język polski! Nowa dopiero poezia wskazała całe jego bogactwo; dowiodła że mowa nasza zdolna jest do wydania wszechstronnych piękności, że wygina się prześlicznie w milionowe zwroty; ta nowa poezja gdyby nie wpłynęła przeważnie na cały bieg literatury, jużby stanowiła epokę wzrostu i siły języka. Moc wyrazów, moc wyrażeń przybyło. Rozwinął się język poetyczny, ściśle naukowy, filozoficzny. Te gałęzie wiedzy ludzkiej, które dotąd leżały odłogiem w naszej literaturze, zazieleniły się pięknem kwieciem, rozrosły się jedne bujnie, drugie mniej bujnie, ale na wszystkiem czuć było nowe natchnienie zaczynającego się żywota. Pisarze rozwijają i bogacą język, a gramatycy i słownikarze, jak mówiliśmy, zbierają te kwiaty które pisarze posieli. Siła piękności języka jest przecież w samym języku, leży w jego naturze i pisarzowi jest dane tylko odkrywać cudy mowy jak Kolumbowi światy i oceany. Pisarz nie wywoła tego do życia natchnieniem swem, czego w języku nie ma.

(D. c. n.)

Rozmaitość.

* Cesarzewicz JMość, Arcyksiąże Karol Ludwik w tych dniach opuści swe mieszkanie letnie (pałac Skrzyńskich) i znowu w mieście w pałacu Towarzystwa kredytowego (dawniej Hausnera) mieszkać będzie. Cesarzewicz JMość w najlepszem zdrowiu powrócił z podróży na Podole, gdzie przyjmowany był od licznie zgromadzających się obywateli z zapałem i z szczerą przychylnością. W Brzeżanach podejmował Cesarzewicza JMości hr. Stanisław Potocki w pałacu swym w Raju. Przyjechawszy do Brzeżan 8go wieczór, zabawił Cesarzewicz JMość przez dzień następny w Brzeżanach, zwiedził wszystkie urzęda, odbył przegląd wojska. Park w Raju oświecony był przez dwa wieczory, okoliczni obywatele zjechali się na powitanie Cesarzewicza i byli zaproszeni na ucztę, który dla Cesarzewicza JMości wyprawił hrabia Potocki. Dnia 10go Cesarzewicz wyjechał do Tarnopola, gdzie był witany przez przełożonych wojska i urzędników i przez licznie zebrane obywatelstwo. Dzień następny poświęcał zwidzeniu urzędów szkół i przeglądowi wojsk, poczem zaprosił do swego stołu, przyjmujących go obywateli i wyższych oficerów i urzędników. Dnia 12go wracając z Tarnopola, obejrzał w Jaryczowcach sławną stadninę arabską hr. Juliusza Dzieduszyckiego, potem odbył przegląd wojska i urzędów w Złoczowie, gdzie do stołu swego zaprosił przeszło 20 osób i wieczorem późnym puścił się w dalszą podróż do Lwowa, dokąd dnia 13go rano przybył.

* **Statystyka perfum.** Jeden n. p. dom handlujący wyłącznie perfumami we Francyi, w mieście Grasse, w departamencie Var potrzebuje corocznie do 10,000 funtów skórek pomarańczowych; 60,000 funtów kwiatu akacyj; 55,000 funtów fiołków 120,000 fun. hyacyntów; 16,000 funt. lilij i w podobnym stosunku różnych innych pachnących roślin. Miasto Grasse dostarcza też perfumów całemu zachodowi, a nawet północy Europy. kiedy w Paryżu perfumerye coraz grubsze oszukaństwa popełniały a nawet bardzo szkodliwe pierwiastki do swoich wyrobów mieszać poczęły, zawiązało się towarzystwo tak nazwane: Societé Hygienique, z doktorow i chemików złożone i położyło sobie za cel z najpiękniejszych i najzdrowszych roślin wyrabiać wszystkie perfumy do utrzymania i upiększenia skóry i podobnego rodzaju wynalazki. Odtąd ilość sprzedawanych perfum ogromnie się powiększyła, ale nadużycia nie ustały. Wyroby towarzystwa Hygienicznego są dosyć drogie i bogatszym tylko przystępne, tańsze zaś perfumy są prostym spirytusem, jako tako zapachnionym.

Przyjechali od dnia 15. do 16. listopada do Lwowa:

PP. Rylski Wincenty, ze Zagórza. Jedliński Jan, ze Sambora. Skrzyński Ludwik, z Nozdrca. Pawlikowski Mieczysław, z Krakowa. Malczewski Henryk, z Gniłowód. Podlewski Apolinary, z Czabarówki. Czajkowski Hipolit, ze Sarnik. Trzciński Józef, ze Żyrawy. Możarowski Antoni, ze Żółkwi.

PP. Chłopecki Piotr, z Bereźni. Czajkowski Hipolit, z Dydiatycz. Smarzewski Piotr, z Moczerad. Grocholski Izydor, z Husiatyna. Kaczorowski Alojzy, z Derewlan. Drohojowski Józef, hr. z Balic. Sozański Sylwester, z Kornalowic. Żurowski Antoni, z Przemyśla.

Wyjechali od dnia 15. do 16. listopada ze Lwowa:

PP. Nikorowicz Paweł, do Stanisławowa. Agopsowicz Krzysztof, do Stryja. Tenczarowski Tomasz, do Brzeżan. Bogdanowicz Jan, do Stanisławowa.

PP. Wisłocki Alojzy, do Krystyanpola. Strzelecki Eugieniusz, do Wyrowa. Czajkowski Hipolit, do Bóbrki. Kozicki Aleksander, do Bilcza. Łoś Tadeusz, hr. do Narola. Lubomirski Henryk, książę do Przeworska. Urbański Jan, do Dankowic.

Kurs telegrafowany z Wiednia 17. b. m. o g. 2 po połud.

Amszterdam . . .	—.	Medyolan za 300 lirów	124
Augsburg za 100 złr.	$126\frac{3}{8}$.	Paryż za 300 franków	146
Bukareszt	—.	Agio duk. ces.	—.
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy . . .	$125\frac{1}{8}$.	Srebra agio	28
Genua.	—.	Pożyczka 5% $82\frac{9}{16}$ $4\frac{1}{2}$	—.
Hamburg za 100 tal. banco.	$92\frac{1}{4}$.	Pożyczka lit. B. . . .	—
Konstantynopol	—.	Akcye banku . . .	1231.
Liwurno.	—.	Kolej północna . . .	$1767\frac{1}{2}$.
Londyn za 1 funt szterl.	12 10.	Obl. ind.	$76\frac{1}{2}$.
Marsylia	—.	Nowa pożyczka z loteryą	$96\frac{7}{8}$.
		Pożyczka narodowa . .	$86\frac{4}{8}$.

Dzisiejszy **Kurs lwowski.**

	Gotowką				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	48	złr.	5	kr.	52
Dukat cesarski	„	5	„	54	„	5	„	58
Półimperyał zł. rosyjski	„	10	„	10	„	10	„	14.
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	58	„	1	„	59
Talar pruski	„	1	„	52	„	1	„	53.
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	26	„	1	„	27
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	„	85	„	45	„	86	„	5.

Obligacye indemnizacyjne 74. — do 74 złr. 20 kr.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**